Tylko trzy Rzeczywistości — Gorgiasz

Od autora: kategoria: pogranicze realizmu magicznego

Dzień zapowiada się pięknie. Białe kłębowiska obłoków płyną nad łagodnymi szczytami ciemnozielonych wzgórz, śpiących po przeciwległej stronie doliny. Ich spokojna, pełna dostojeństwa wędrówka, odsłania wciąż szersze fragmenty zamglonego porankiem błękitu nieba. Szare pasmo wąskiej, asfaltowej drogi ginie zakrętem i zasłoną wybujałych traw, łagodnie kołysanych ciepłym oddechem zbudzonego świtem wiatru. Po zboczach suną ostatnie pasma rannej mgły, gdzieniegdzie zbijając się w kłębki puszystych królików, wspartych na długich łapkach dymów, rosnących z nielicznie rozrzuconych u podnóży chat. Obok nich pełznie niespiesznie ciemnoczerwona gąsienica lokalnego pociągu, wystawiając do słońca jasnokremowy grzbiet. Odruchowo spoglądasz na zegarek: punktualnie. Jakby odpowiadając twym myślom, spalinowa lokomotywa odzywa się tęsknym, przeciągłym sygnałem, wyobrażasz sobie, że takim głosem oznajmiał swą siłę wymarły dawno jaskiniowy niedźwiedź, takim właśnie przeciągłym rykiem, który z właściwym opóźnieniem oplata górską łąkę, na którą przed chwilą przyszedłeś i powtórzony echem ginie w niebycie.

Główną drogą, wijącą się w nie do końca zasłoniętej dolinie, pędzą dwaj jeźdźcy, wzbijając postrzępiony tuman kurzu. Przez chwilę prowadzisz ich wzrokiem, wzdychasz ciężko, w końcu odwracasz się, pochylasz i rozkładasz metalowy stelaż przyniesionego ze sobą turystycznego leżaka. Siadasz, jadące szosą w dole samochody, wyglądają jak kolorowe chrabąszcze, które łażą po otaczających cię wybujałych źdźbłach wysokiej trawy, łodygach żółtych i fioletowych kwiatów. Opierasz ręce o gruby mur, kamienie zachowały jeszcze kojący chłód minionej nocy, patrzysz na ostatni wagon przesłaniany ścianą świerkowego lasu, wiesz, że wychynie za chwilę z prawej jego strony, z turkotem wjeżdżając na stację niedużego miasteczka, w którym na okres kilku dni wynająłeś wygodną kwaterę. Jeźdźcy są coraz bliżej, podążając już boczną drogą wiodącą do zamku, jadą teraz wolniej, konie zmęczone, a droga choć łagodnie, jednak się wznosi. Słońce grzeje coraz mocniej, tuż nad tobą zawisa ostrzegawczy skrzek drapieżnego ptaka, wzbudzając podświadomy niepokój, siadasz, nie jest zbyt wygodny, ale lekki w transporcie, a nie chciałeś ryzykować jazdy swoim nowym wozem po nieznanej, górskiej jakby nie było drodze, trudno przypuścić, że będzie utwardzona aż dotąd, widać już miecze u ich boków, właśnie nakładają przyłbice, dziwne, posłowie chyba tak się nie zachowują, nie masz pewności, wyżej są jakieś domy, asfalt i biegnące wzdłuż niego pochylone słupy trakcji elektrycznej. Wszystkiego nie przewidziałeś, ale bramy trzymasz zamknięte, i dobrze, nie wiadomo do końca kto kim jest, tak zawsze bezpieczniej, na nieznanej polnej drodze nawet zawrócić nie ma sposobu, rów, kamienie ukryte, dziury, szkoda zawieszenia.

Są coraz bliżej, twoi strażnicy tkwią nieruchomo, nie wydałeś żadnego rozkazu, otwierasz pierwszą z dwóch przyniesionych książek, „Struktura Rzeczywistości", wyjmujesz kolorową zakładkę, to bilet nadmorskiej, wąskotorowej kolejki ze zdjęciem staroświeckiego parowozu, byliście tam zeszłego roku, tam poznaliście się, niby niedawno, a jakby epoka upłynęła cała, oprawiona w pamięć wydm, plaży, morza niepojętego, lecz nie przyjechała tutaj z tobą, musi dopilnować pewnego interesu, bardzo ważnego interesu, od którego zależy tak wiele, często myślisz o niej, pamiętasz smutek, prawie rozpacz tego pierwszego chyba pożegnania, otwierającego długą, kilkudniową rozłąkę. Jeden z jeźdźców rzuca coś w pył drogi, unosi rękę władczym gestem, śmieje się, zawracają, doskonale wiesz co to jest i od kogo, choć tak bardzo chciałbyś nie wiedzieć, tak bardzo pragnąłbyś być gdzieś indziej, w jakimś innym świecie, patrzysz przez chwilę na przeciwległe zbocza, wiatr owiewa twarz, szeleści kartkami książki, odsuwa cień osłaniającego cię drzewa.

– Panie! – Sługa przysłany przez dowódcę straży, lekko drżącym głosem ośmiela się zadać ci pytanie. Nie możesz go za to karać, sytuacja jest usprawiedliwieniem. – Panie! Wybacz, ale cóż czynić mamy? – No tak, oni mogą nie wiedzieć, ale ty musisz, brzemię władcy, musisz podjąć decyzję, trzeba wstać, prze-

sunąć głębiej w osłonę cienia, robi się gorąco, światło razi oczy, trudno czytać, wyjmujesz z plecaka termos z herbatą, gorąca lepiej gasi pragnienie chociaż nie wszyscy o tym wiedzą, i dobrze jest dodać plaster cytryny, niezbyt gruby, dwie łyżeczki cukru, co ona teraz robi, modli się pewnie w swej komnacie.
– Przynieście mi to, co rzucili – rozkazujesz. Jeźdźcy się oddalają, najpierw kłusem, potem już galopem, spieszą się, czujesz, że twój czas również przyspiesza, jakby ktoś policzył dni, godziny. Szara zasłona pyłu zaciera ich kształty, znikają za zakrętem. Słyszysz zgrzyty, szczękają zasuwy, to strażnik otwiera furtę w bramie, wychodzi ostrożnie, widać pełen lęku chociaż wie, musi wiedzieć, że w tej chwili nie ma się czego obawiać, pusta droga, wyniosłe, nieskoszone trawy, przetykane kolorowym kwieciem i łagodnie wiatrem kołysane, dalej kilka drzew, kępa niewysokich krzewów, śpiew ptaków rozcina powietrze, pochyla się, podnosi i znika w osłonie murów. Czekasz z niecierpliwością. Dłoń ściska kurczowo drzewce. Otwór wiodący do jaskini jest wąski, wpijasz wzrok w stojącą tuż za nim mroczną ścianę lasu, wiesz, że za nią ciągnie się dolina i dalej przeciwległe wzgórza porośnięte tę samą bujną, pełną tajemnic zielenią. Niedźwiedź może pokonać wejście, ale chciałbyś aby przyszedł, słyszałeś go w pobliżu, jest mięsem, potrzebne ci mięso, tobie, twojej kobiecie i dzieciom, czekają z nadzieją ukryci w głębi pieczary, jesteście głodni, bardzo głodni, przeżyjecie najwyżej jeszcze kilka dni.
Domyślasz się jaką wieść otrzymasz, nie wiesz tylko, ile dni ci wyznaczono. Sługa podaje sakwę ciśniętą przez przybyszy, nie wręczoną jak należy, to obraza, ale cóż poradzić, wyjmujesz zwinięty ciasno rulon, spodziewana wiadomość, zaraz zadzwoni, kiedyś otrzymywałeś listy w zaklejonych kopertach, ze znaczkiem kolorowym, jakże się na nie czekało, lub te godziny na zatłoczonej, dusznej poczcie, najlepiej wieczorem, ludzi mniej i taniej, oczekiwanie, godzinę, czasem dłużej, zły głos nerwowej czy zmęczonej telefonistki wywołuje nazwę miasta, numer kabiny, do której rzucasz się jak zwierzę, stoi u wejścia, zasłania światło, obnażone kły, gorejące ślepia próbują przebić mrok, nos wietrzy już twój zapach, teraz telefon masz w kieszeni, ale oczekiwanie pozostało niezmienione, tęsknota ta sama, skurcz w piersiach ten sam, czekasz, tak bardzo czekasz, wiesz, że czyjeś mięso przedłuży czyjeś życie, ale nie wiesz czyje, twoje, jego, tak już jest, nie dziwisz się, nie protestujesz, po prostu trwasz w oczekiwaniu, bo nic więcej nie pozostało do zrobienia, tylko myśl dziwna wsącza się nagle, czy wrócisz tu kiedyś, czy będziesz pamiętał. Pierwsze akordy piątej symfonii zaklętej w sygnał telefonu, obwieszczają zapewne nadejście tak ważnej, tak oczekiwanej wiadomości, nadejście słów, które zmienią twoje życie, staną się ciałem, przyszłością, nowym realnym światem, rozwijasz pergamin, staranne pismo, musieli zabrać na wyprawę pisarza, a może przygotowali je wcześniej, ale krótkie, bardzo krótkie, jedno zdanie, choć ładnie napisane, „Twój czas minie przed zachodem słońca”, tylko tyle, wiedziałeś, ale gdzieś tam w głębi serca czekałeś na coś innego, czekałeś na cud.
Podnosisz oczy, sługa stoi pochylony w pokornej, oczekującej postawie, „przyprowadź ją tutaj” – taka jest twoja wola, miało zabrzmieć władczo, nie zabrzmiało, głos wychodzący ze ściśniętej krtani, cichy jakiś, stłumiony, nieposłuszny, on kłania się jeszcze niżej, wycofuje tyłem, znika, przechodzi oddział kilku wojowników, nie, to nie wojownicy, chłopi powołani naprędce do obrony zamku, niewielki będzie z nich pożytek, twoje wojsko prawie nie istnieje, wróg łatwo mury pokona, wiesz o tym, zginiesz, to ostatni twój dzień, słońce wspina się coraz wyżej, trele ptaków cieszących się pięknem świata, życiem, którego im nikt zabrać nie chce, do zachodu pozostało jednak trochę czasu, jak go wykorzystać, czy coś możesz zrobić, naprawić, nie wiesz, nie potrafisz, wszystko już było, będzie, jesteś jaki jesteś, nikt ci nie pomoże nieść to brzemię, nikt nie doradzi. Dźwięki symfonii jak fatum wdzierają się do twego świata, odbierasz szybkim ruchem, znów jakaś reklama, znów wciskają niechciany towar, niepotrzebną kartę innego, niespełnionego życia. Jednak ten kontakt, to związanie ze światem, jest ci już niezbędne, komórka stała się częścią ciebie, gdy nie zabierzesz jej ze sobą, czujesz się nagi, zagubiony, samotny, ale dzięki niej zawsze można cię znaleźć, zlokalizować, dopaść, zabić, wiesz, że on tylko o tym myśli, ale jest silniejszy, znacznie silniejszy, potężne łapy i pazury, pożre was, idzie z całą swoją armią, niezbyt liczną, ze stu konnych, ale są wśród nich ciężkozbrojni rycerze i kilkuset pieszych, wieśniacy, ale to i tak nazbyt wiele na twe

ogołocone z załogi niewysokie mury, nie potrafiłeś utrzymać żołnierzy, dowódcy wszczęli rokosz, odeszli, żołdu nie płaciłeś, po trochu z braku srebra, po trochu ze skąpstwa, zresztą dostęp łatwy, nie ma fosy, wzgórze łagodne, lecz ona... dostanie ją, będzie jego nałożnicą, a twoje księstwo przestanie istnieć wymazane z dziejów jak wiele innych, których nazw nigdy nie poznałeś. Ty zawiśniesz jak słomiany chochoł w świetle własnej bramy, na postrach i upokorzenie, w aureoli zlatujących się zewsząd tłustych, lśniąco granatowych much.

Koniec się zbliża, pełznie, wślizguje jak wąż, ród twój nie przetrwa, niedźwiedź już jest, ryczy, staje na zadnich łapach, chcesz wrość nogami w ziemię, może ona doda ci tak potrzebnych sił, znaleźć punkt oparcia, kamień pod stopami, twardy, śliski nieco, oszczepem mierzysz w rozwarty pysk, mocarne przednie pazury rozrywają po bokach kawałki zwietrzałej skały, poszerzają otwór, ciskasz dzidę, ale w tym momencie on zwiera paszczę, grot uderza w twarde zęby, może jakiś wybija, odrzuca zwierzę, lecz ono wraca natychmiast, rycząc z jeszcze większą wściekłością, wciska w szczelinę, dłoń trzyma krótkie, krzemienne ostrze, wiesz, że to za mało, nie uratujesz kobiety, dzieci, nie wyprowadzisz ich z tej zamkniętej czeluści, ostatnia chwila, życie przebiega przed oczyma, krótkie, nędzne życie, ciągła walka, walka o przetrwanie, pożywienie, schronienie, ognisko, czemu tak, czemu, matka, strumień, las, pogoń za pięknym jeleniem, kwitnąca łąka, ona, dlaczego świat ten odchodzi, dlaczego, smród oddechu, rozrywana pierś, ułamek bólu, sługa wraca, zatrzymuje się w pełnej szacunku odległości, ale jednak zbyt daleko, powinien mówić lecz milczy, głowa spuszczona, czujesz dreszcz przechodzący przez plecy, „mów", on się cofa, otwiera usta, ale głos z nich nie płynie, „mów", krzyczysz, pięści zaciśnięte bezwiednie, palec dotyka przycisku ledwie zabrzmiał pierwszy akord Beethovena.

– Tak? Tak... słyszę... naprawdę... nie wierzę, nie... Piersi twardnieją w bryłę lodu. – No co mam powiedzieć, wiem, że to katastrofa, co? – Jeszcze raz nie możesz, nie chcesz uwierzyć w to, co słyszysz. – Jak to wyjeżdżasz do Anglii, samolot, kiedy, nie rozumiem... masz już bilet? – Znaczy, liczyła się z tym, przewidywała, zostawia cię, zdradza, na pewno zabierze wszystko co zostało, nie zdążysz jej uprzedzić, siedząc tutaj, wśród gór, rok wspólnego życia, planów, wiary, nadziei, miłości. Chcesz coś powiedzieć, słowa uciekły, czujne takie, przewidujące, ty zostałeś, ale to już bez znaczenia, już niepotrzebne one, dokonało się, byli sprytniejsi może mądrzejsi, a na pewno silniejsi od ciebie, prawie nie masz wojska, dwudziestu żołnierzy, kilkudziesięciu okolicznych chłopów uzbrojonych w kije i jakieś wyszczerbione noże, mur od wschodniej strony popękany, rękoma można wyłom zrobić, ale czemu ten sługa tak dziwnie patrzy, „nie przyjdzie panie... ona... ona nie żyje... wisi w odrzwiach...", nie słuchasz dalej, jak szalony rzucasz się do biegu, wpadasz do budynku, schody, korytarz, jeszcze jedne schody, tamto wejście, jej izba, dostrzegasz ją, wybrała śmierć, bez pożegnania, nic, ani jednego słowa, nie wiedziałeś, zostawiła cię na tym świecie, padasz na kolana, płacz wybucha niezależnie od woli, to koniec drogi, nic już nie zostało, nic nie jest ważne, nic się nie liczy, bezmyślnie podnosisz drugą z przyniesionych książek „Światy Równoległe", dzieło znanego japońskiego naukowca – cóż on może o tym wiedzieć – myślisz z goryczą, otwierasz ją i zamykasz drzwi za sobą, zostaniesz tutaj, z jej ciałem w mrocznej izbie, w tym zamkniętym kamiennym murem wycinku tej jednej, jedynej czasoprzestrzeni, nie widzisz już, bo oczy zostały zjedzone razem z twarzą, nie widzisz, że twoja kobieta patrzy tępo na potężne cielsko zwierzęcia z głuchym pomrukiem pożerającego twe ciało, wie, że będzie następna, nie ma ratunku, dzieci siedzą cicho, taki los, jest ciemno, bardzo ciemno, światło wpadające przez wejściowy otwór zasłania kudłata bestia, niewielki obłok skrył promienie dalekiego słońca, podchodzisz do wąskiego, zakratowanego gotyckiego okna, otwartą książką odpędzasz natrętnego owada, nadciąga chmura, może jednak spadnie deszcz, która to godzina, nieważne, możesz przecież tu zostać, powinieneś tu zostać, już nie masz dokąd iść, widzisz koniec doliny, błyski jakieś, tak odbija się światło od stali rycerskich pancerzy, nadciągają zwartym szykiem, niewiele czasu zostało, wiatr powiał mocniej, jednak może padać, przeciwległe wzgórza pokrywa cień, niespiesznie skradając się coraz bliżej i bliżej, odkładasz książkę, wyciągasz na leżaku, źdźbła trawy łaskoczą twe dłonie, motyle trzepocą skrzydełkami, białe, żółte i małe takie, niebieskie, z błękitu niebios

wykrojone, niebu wydarte, basem buczy kosmaty, czarno rudy trzmiel, nie mogąc się utrzymać w wiotkim, liliowym kielichu i coraz głośniejsze, rytmiczne brzęczenie, to pszczoły, dużo pszczół, tyle kwiatów wokół, zbierają nektar dla swego roju, swego ula, mają dla kogo żyć, pracować, dokąd wracać i nawet nie wiedzą jak są szczęśliwe.
Wyczuwasz czyjąś obecność, odwracasz się. Stoi tuż za tobą, niewysoki, szczupły, w nieokreślonym wieku, znoszone lecz czyste ubranie, jasna koszula nie kontrastuje z bielą spodni odsłaniających bose stopy, ręce skrzyżowane na piersiach. Jego oczy patrzą z dobroduszną ironią choć bez pogardy i potępienia, a ich przenikliwe, ciepłe promienie przesycone jarzącym się wewnętrznym światłem, są zapowiedzią czegoś nieznanego, niepojętego. Tak, pamiętasz, spotkałeś go już raz czy dwa, na dole, w mieście, idącego z przeciwka zatłoczonym deptakiem, objął cię wtedy przeszywającym wzrokiem, wasze spojrzenia skrzyżowane na mgnienie, coś zapłonęło, zadrżało, wstrząsnęło, rozpadł się świat na miriady lśnień, fragmentów, dróg wiodących dokądś, wyskoczył z tego czasu, ale potem scaliło się ono, odeszło, wtuliło w zapomnienie, ucichłe nagle, onieśmielone, odrzucone, później chyba staliście razem w kolejce po lody, w tej kawiarni na rogu, a może był tam ktoś inny. Przyglądasz się uważnie, bardzo uważnie, zza jego pleców coś wystaje, unosi kształt jakiś, przypominający rozpostarte... nie, to niemożliwe, mrugasz, nie znika, nad głową spłaszczony owal świeci niewyraźną, ledwo widoczną poświatą, gdyby nie ciemny brąz tła stworzony przez stojące za nim pnie świerków, nie byłby widoczny.
– Zstąpiłem po ciebie. – Uśmiecha się. – Chodź już ze mną.
Wyciąga rękę. Głos spokojny, pewny, łagodny, ironia zniknęła; zastąpiła ją trudna do określenia troska, życzliwość. Wiatr ucichł, słońce rozbłysło pełnią oślepiającego blasku, przeganiając ciemną chmurę, która strwożona nagle, odeszła w niewiadome miejsce.
– I znów ci się nie udało. – Wzdycha ze współczuciem. – Nawet tylko w trzech światach, tylko w trzech rzeczywistościach, nie umiesz sobie poradzić, a jest ich przecież tak wiele, nie miliony, nie miliardy, lecz nieskończona liczba, czytałeś przecież, wiesz o tym. I w każdej z nich żyjesz, w każdej dźwigasz swój los. Pojmujesz, jaki ciężar nieść musisz? Kim jesteś? Ale będąc jedynie w trzech spośród nich, nie pomożesz własnemu ja, nie potrafisz dostrzec siebie, nie wiesz, że gdzieś jeszcze istniejesz. Ileż eonów upłynie, zanim zrozumiesz kim jesteś naprawdę, zanim staniesz się pełnią własnej istoty. Tak już jest, trzeba o tym wiedzieć, choć czasem lepiej nie pamiętać. No i chodź już, chodź, musisz iść dalej, tyle jeszcze dróg przed tobą...

Aleksander Litto Strumieński

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gorgiasz, dodano 24.09.2016 04:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.